

**EXTRA
DODATEK!**

FRAGMENT NOWEJ
POWIEŚCI AUTORKI
„TAJEMNICE
FLEAT HOUSE”

Autorka serii **SIEDEM SIÓSTR**

LUCINDA RILEY
DRZEWO
ANIOLA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE ANGEL TREE

Copyright © Lucinda Edmonds 1995
Revised Edition Copyright © Lucinda Riley 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Jan Kabat 2018

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka/Wydawnictwo Albatros Spółka z o.o.

Zdjęcia na okładce: © Leslie Banks/EyeEm/Getty Images (*tło*);
Anna Gorin/Moment/Getty Images (*postać*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

David Marchmont zerknął na swoją pasażerkę, jednocześnie manewrując samochodem po wąskiej drodze. Śnieg rozpadał się na dobre, co jeszcze bardziej utrudniało jazdę po niebezpiecznie oblodzonej nawierzchni.

– Już niedaleko, Greto. Chyba zdążymy na czas. Obawiam się, że rano ta trasa będzie nieprzejezdna. Poznajesz coś? – spytał niepewnie.

Greta obróciła się do niego. Nawet w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat miała gładką skórę o barwie kości słoniowej, a jej oczy były tak duże i błękitne, że Davidowi zawsze przywodziły na myśl twarz lalki. Wiek nie przytłumił ich koloru, ale nie rozpałały się już ekscytacją czy gniewem. Ich blask zgasł dawno temu i teraz patrzyły równie obojętnie i niewinnie jak te z porcelany.

– Wiem, że mieszkałam tu kiedyś, ale nie mogę sobie tego przypomnieć. Przykro mi, Davidzie.

– Nie martw się – pocieszył ją, wiedząc, jak bardzo jest przygnębiona, i myśląc, że gdyby on sam mógł wymazać z pamięci ten pierwszy, koszmarne widok domu swojego dzieciństwa po pożarze, a wciąż czuł gryzącą woń poczerniałego drewna i dymu, z pewnością by to uczynił. – Oczywiście Marchmont wraca powoli do świetności.

– Tak, wiem. Powiedziałeś mi to w zeszłym tygodniu, kiedy przyszedłeś do mnie na kolację. Zrobiłam kotlety jagięce. Wypiliśmy butelkę sancerre – odparła niepewnie. – I wspominałeś, że zatrzymamy się właśnie w tym domu.

– Zgadza się – potwierdził David, który rozumiał, że Greta zawsze odczuwa potrzebę przekazywania szczegółów ostatnich wydarzeń, nawet jeśli przeszłość poprzedzająca jej wypadek jest dla niej niedostępna.

Teraz, kiedy zmagał się z pokrytą lodowymi koleinami drogą, a opony z trudem utrzymywały przyczepność na niewielkim wzniesieniu, zastanawiał się, czy przywiezienie tu Greta na Boże Narodzenie było dobrym pomysłem. Nie krył zdumienia, gdy w końcu przyjęła jego zaproszenie. Przez lata namawiał ją, by opuściła swoje mieszkanie w Mayfair, i zawsze słyszał zdecydowane „nie”.

Wreszcie, po trzech latach usilnych starań, by przywrócić rodzinnej siedzibie dawną świetność, poczuł, że nadszedł odpowiedni moment. I z jakiegoś powodu, ni stąd, ni zowąd, ona też to poczuła. Wiedział przynajmniej, że dom, w sensie fizycznym, będzie wygodny i ciepły. Czy również w sensie emocjonalnym – dla obojga z nich, zważywszy na okoliczności – nie miał pojęcia...

– Już się ściemnia – zauważyła beznamiętnie Greta. – A jest dopiero po trzeciej.

– Tak, ale myślę, że będzie dostatecznie jasno, żebyśmy mogli zobaczyć Marchmont.

– Gdzie kiedyś mieszkałam.

– Tak.

– Z Owenem. Moim mężem. Który był twoim stryjem.

– Tak.

David zdawał sobie sprawę, że Greta po prostu nauczyła się na pamięć szczegółów przeszłości, którą zapomniała. Jakby zdawała egzamin. I to on był jej nauczycielem, przygotowanym odpowiednio przez jej lekarzy: radzili mu, by nie wracał do traumatycznych wydarzeń, ale wymieniał jedynie imiona, daty i miejsca, które mogłyby poruszyć coś w jej podświadomości i stać się kluczem do odzyskania utraconej pamięci. Czasem, kiedy ją odwiedzał i z nią rozmawiał, wydawało mu się, że dostrzega u niej jakby przeblask tego, że kojarzy, o czym on mówi, ale nie potrafił się zorientować, czy to efekt jego wcześniejszych słów, czy też Greta rzeczywiście coś sobie przypomina. I po tych wielu latach

lekarze – którzy niegdyś byli pewni, że Greta powoli odzyska pamięć, bo niezliczone tomografie mózgu, które zrobiono jej od czasu wypadku, nie wskazywały na żaden uraz – teraz mówili o „selektywnej amnezji” spowodowanej traumą. Orzekli, że Greta „nie chce” pamiętać.

David ostrożnie pokonał niebezpieczny zakręt, wiedząc, że za kilka sekund zobaczą przed sobą bramę posiadłości Marchmont. Choć był jej prawowitym właścicielem i wydał fortunę na odbudowę domu, w gruncie rzeczy pełnił funkcję jej opiekuna. Teraz, kiedy prace renowacyjne dobiegły niemal końca, wnuczka Greta, Ava, która po śmierci Davida miała przejąć majątek, i jej mąż, Simon, wyprowadzili się z Gate Lodge, domku stróża, żeby zamieszkać w Marchmont Hall. Idealna chwila, zważywszy, że spodziewali się za parę tygodni swego pierwszego dziecka. I być może kilka minionych lat historii rodzinnej, tak bardzo niepomyślnych, skończy się wreszcie wraz z narodzinami nowego, niewinnego życia.

Sytuację jeszcze bardziej komplikowały wydarzenia, do których doszło od czasu, gdy Greta utraciła pamięć... wydarzenia, przed którymi ją chronił, bojąc się, że będą dla niej zbyt silnym przeżyciem. Ostatecznie, jeśli nie potrafiła przypomnieć sobie początku tej całej sprawy, to jak poradziłaby sobie z jej końcem?

Ogólnie biorąc, sytuacja ta oznaczała, że Ava i Simon balansowali na linie podczas swoich rozmów z Gretą, pragnąc ożywić jej pamięć, ale bezustannie uważając na to, co się w jej obecności mówi.

– Widzisz, Greto? – odezwał się David, kiedy przejechali przez bramę i w oddali ukazało się Marchmont.

Dom pochodzący z czasów elżbietańskich przycupnął wdzięcznie na tle pofałdowanych wzgórz, które gdzieś w dali przechodziły w masyw skalny Black Mountains. Niżej, szeroką doliną, płynęła meandrami rzeka Usk; pola po obu jej stronach skrzyły się bielą świeżo spadłego śniegu. Pradawne ściany o łagodnej ceglanej barwie wznosiły się od frontu ku potrójnym wimpergom, a w szybach szprosowych okien odbijały się ostatnie różowe promienie słońca.

Choć stare wysuszone drewno było dla zachłannych

płomieni idealną strawą, co doprowadziło do zniszczenia dachu, zewnętrzna skorupa domostwa przetrwała. Jak powiedzieli Davidowi strażacy, stało się tak dzięki temu, że mniej więcej po godzinie od chwili, gdy pojawił się ogień, spadła potężna ulewa. Jedynie natura ocaliła Marchmont Hall przed całkowitym unicestwieniem, pozostawiając coś, co mógł jeszcze odbudować.

– Och, Davidzie, wygląda piękniej niż na zdjęciach, które mi pokazywałeś – oznajmiła bez tchu Greta. – Z tym śniegiem przypomina kartkę bożonarodzeniową.

Rzeczywiście, kiedy David zatrzymał samochód przed drzwiami wejściowymi, zobaczył w oknach ciepłe światło i migoczący blask lampek na choince. Tak bardzo przeczyło to mrocznej i surowej atmosferze domu jego dzieciństwa, jaka wyryła mu się w pamięci, że poczuł wręcz euforię na widok tej zmiany. Być może ogień strawił przeszłość również metaforycznie, tak jak fizycznie. Żałował tylko, że jego matka nie może ujrzeć tego niezwykłego odrodzenia.

– Wygląda uroczo, prawda? – powiedział, otwierając drzwi, co sprawiło, że z dachu auta zsunął się śnieg. – Obejrzyjmy to. Potem wezmę walizki i prezenty.

Obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera. Greta wysiadła ostrożnie, a jej nogi w miejskich butach od razu zapadły się po kostki w głębokim śniegu. Gdy spojrzała na dom, a potem na swoje stopy, pojawiło się nagle wspomnienie.

„Byłam tu wcześniej...”

Stojąc jak skamieniała, wstrząśnięta tym, że taka chwila wreszcie nadeszła, rozpaczliwie próbowała uczepić się owego wspomnienia. Ale ono już umknęło.

– Chodź, Greto, bo zamarzniesz na śmierć. – David podał jej ramię i wspólnie pokonali kilka metrów, jakie dzieliły ich od frontowych drzwi Marchmont Hall.

Przywitali się z Mary, gospodynią, która pracowała tu od ponad czterdziestu lat, i David zaprowadził Gretę do jej sypialni, żeby mogła się zdrzemnąć. Domyślał się, że stres, jakim było opuszczenie własnego domu po raz pierwszy od lat, i wielogodzinna jazda musiały ją bardzo zmęczyć.

Następnie zszedł do kuchni w poszukiwaniu Mary.

Stała przy świeżo zamontowanej wyspie i wałkowała ciasto na babeczki z nadzieniem bakaliowym. David rozejrzał się, podziwiając lśniące granitowe blaty i elegancką zabudowę ścian. Wystrój kuchni i łazienek stanowił jedyne ustępstwo na rzecz nowoczesności, kiedy David planował odbudowę Marchmont. Pozostałym pokojom przywrócono pierwotny wygląd, a było to niezwykle trudne zadanie, które wymagało analizy wielu materiałów i ślęczenia w bibliotekach nad archiwalnymi fotografiami, nie wspominając już o odwoływaniu się do własnej pamięci. Zatrudniono armię miejscowych rzemieślników, co miało dać gwarancję, że wszystko, od kamiennych podłóg po meble, będzie jak najwierniej przypominało dawne Marchmont.

– Dzień dobry, panie Davidzie. – Mary popatrzyła na niego z uśmiechem. – Dziesięć minut temu dzwonił Jack i powiedział, że pociąg pańskiej Tor ma opóźnienie z powodu opadów śniegu. Powinni być za jakąś godzinę. Wziął land rovera, więc bez kłopotu się tu dostaną.

– To miłe, że po nią wyjechał. Wiem, ile obowiązków ma tutaj. Jak ci się podobają te wszystkie urządzenia?

– Są wspaniałe. Wszystkie takie nowe i świeże – powiedziała ze swoim miękkim walijskim akcentem. – Nie mogę uwierzyć, że to ten sam dom. Jest tu teraz tak ciepło, że prawie nie muszę rozpalać ognia.

– A twoje mieszkanie jest wygodne?

Mąż Mary, Huw, zmarł kilka lat wcześniej, ona zaś, mieszkając w chacie na terenie posiadłości, czuła się niezwykle samotna, więc David, kiedy pracował z architektem nad nowymi planami domu, pomyślał o urządzeniu na przestronnym poddaszu pokoiów dla gospodyni. Zresztą po tym wszystkim, co się wydarzyło, czuł się spokojniejszy, gdy ktoś był stale na miejscu, zwłaszcza że Ava i Simon musieli czasami stąd wyjeżdżać.

– O tak, dziękuję. Mam wspaniały widok na dolinę. Jak Greta? Szczerze mówiąc, byłam zdumiona, kiedy mi pan powiedział, że przyjeżdża na święta. Słowo daję, nie wierzyłam, że tego doczekam. I co ona o tym myśli?

– Niewiele mówi – odparł David, nie bardzo wiedząc, czy Mary chodzi o odbudowę domu, czy powrót po tylu latach. – W

tej chwili odpoczywa.

– Widział pan, że przygotowałam jej dawną sypialnię? Chciałam sprawdzić, czy coś sobie przypomni. Choć teraz pokój wygląda zupełnie inaczej. Nawet ja go nie rozpoznaję. Naprawdę pan sądzi, że nie wie, kim jestem? Niejedno przeżyłyśmy, kiedy mieszkała w Marchmont.

– Nie przejmuj się tym, Mary. Wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji.

– No, może to i lepiej, że nie pamięta tego, co się stało – zauważyła pośpiesnie.

– To prawda – przyznał David z westchnieniem. – Tak czy inaczej, będą to dziwne święta.

– W samej rzeczy, mój drogi. Wciąż rozglądam się za pańską matką, a potem sobie uświadamiam, że już jej nie ma. – Mary przełknęła łzy. – Dla pana to jeszcze gorsze, panie Davidzie.

– Cóż, wszyscy musimy do tego przywyknąć. Ale przynajmniej mamy Avę i Simona, którzy pomogą nam się z tym uporać. – W geście pociechy objął ramiona Mary. – Mogę spróbować jednej z twoich smakowitych babeczek?

*

Ava i Simon wrócili do domu dwadzieścia minut później i przyłączyli się do Davida, który siedział w salonie pachnącym świeżą farbą i dymem drzewnym z ogromnego kamiennego kominka.

– Wyglądasz wspaniale, Avo. Dosłownie tryskasz zdrowiem. – David z uśmiechem ją objął, po czym uściśnął dłoń Simonowi.

– Rozdęłam się w ostatnim miesiącu jak balon. Najpewniej urodzę gracza rugby, obojętnie, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka.

– Mam poprosić Mary, żeby zaparzyła nam herbaty? – spytał David.

– Ja to załatwię – odezwał się Simon. – Avo, kochanie, zostań tu z wujem, usiądź i daj wyżej nogi. Wezwano ją w nocy do rodzącej krowy – dodał, wzruszając bezradnie ramionami, i wyszedł z pokoju.

– Mam nadzieję, że ktoś mi pomoże, kiedy ja będę rodzić

– rzuciła Ava ze śmiechem, zagłębiając się w jeden ze świeżo tapicerowanych foteli. – Simon bezustannie każe mi się oszczędzać, ale ja jestem weterynarzem. Nie mogę pozostawić swoich pacjentów na pastwę losu. Akuszerka też by mnie nie zostawiła, prawda?

– Tak, Avo, ale masz termin za sześć tygodni, a Simon się martwi, że za bardzo się przemęczasz, to wszystko.

– Kiedy po świętach zjawi się mój zastępca, będzie znacznie łatwiej. Ale przy tej pogodzie nie mogę mieć pewności, że nie zostanę wezwana do jakiejś owcy cierpiącej na hipotermię. Farmerzy sprowadzili stada z gór jeszcze przed mrozami, ale zawsze jakiś zwierzak się zagubi. A co u ciebie, wujku?

Nazywała go „wujkiem”, choć byli raczej dalekimi kuzynami.

– Bardzo dobrze, dziękuję. Nagrałem swój bożonarodzeniowy program w październiku i od tej pory, no cóż... szczerze powiedziawszy – zacerwienił się, speszony – piszę autobiografię.

– Naprawdę? Zapowiada się ciekawa lektura.

– Tak jak ciekawe jest moje życie i na tym właśnie polega problem. O niektórych rzeczach z pewnością nie mogę mówić.

– No nie... – Ava spoważniała. – Jeśli mam być szczerą, a wiesz, że zawsze taka jestem, zaskoczyłeś mnie. Dotąd bardzo strzeżeś swojego prywatnego życia.

– Tak, ale, niestety, jakiś pokątny dziennikarz postanowił napisać nieautoryzowaną wersję, więc doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli sam wyjaśnię pewne sprawy. Na ile pozwalają okoliczności, ma się rozumieć.

– Słusznie. Rozumiem, dlaczego chcesz to zrobić. Boże. – Ava westchnęła. – To, że moja matka była gwiazdą filmową, a kuzyn słynnym komikiem, wybiło mi z głowy wszelką myśl o sławie. Nie wspomnisz nawet słowem... o mnie, prawda, wujku? Umarłabym, gdybyś to zrobił. Zwłaszcza po tym, co się ostatnio wydarzyło, kiedy znalazłam się z Cheską na pierwszej stronie „Daily Mail”.

– Oczywiście, że nie, Avo. Nie zamierzam mieszać w to rodziny. Problem polega na tym, że tak naprawdę niewiele mam do powiedzenia. Nie było narkotyków, załamań nerwowych,

kłopotów z alkoholem ani kobiet, więc zapowiada się wyjątkowo nudna lektura. – David uśmiechnął się ironicznie. – A skoro mowa o kobietach, Tor powinna się zjawić tu lada chwila.

– Cieszę się, że przyjeżdża, wujku. Bardzo ją lubię. Im więcej nas będzie, tym lepiej.

– No cóż, przynajmniej udało się nam ściągnąć tutaj twoją babkę.

– Gdzie jest?

– Na górze. Odpoczywa.

– Jak się czuje?

– W gruncie rzeczy bez zmian. Ale podziwiam ją, że znalazła w sobie dość odwagi, żeby tu przyjechać. – Za oknem błysnęły światła samochodu. – To pewnie Tor. Pomogę jej wnieść bagaże.

Kiedy David wyszedł z salonu, Ava zaczęła rozmyślać o jego trwałym i lojalnym związku z Gretą. Wiedziała, że oboje znali się prawie przez całe życie, zastanawiała się jednak, co tak bardzo go w niej pociągało. Jej stryjeczna babka, matka Davida, czyli LJ, która zmarła zaledwie przed kilkoma miesiącami, mówiła, że jej syn zawsze kochał Gretę. Bez wątpienia, Greta wciąż wyglądała młodzieńczo, niemal jakby utrata pamięci starła bez śladu fizyczne oznaki pięćdziesięciu ośmiu lat życia, które zwykle ujawniają się na twarzy niczym emocjonalna mapa.

Choć Ava nie lubiła tak myśleć, zawsze uważała swoją babkę za pustą i dziecinną. Przy nielicznych okazjach, kiedy widywała Gretę w ciągu tych lat, odnosiła wrażenie, że rozmawia z doskonale ukształtowaną, ale pustą w środku figurką, niczym jajko Fabergé. Możliwe jednak, że głębia i osobowość, jakie miała kiedyś, zostały zatarte przez tamten wypadek. Greta żyła jak odludek, rzadko wychodząc ze swojego mieszkania. To był pierwszy raz, o ile Ava się orientowała, że opuściła je na dłużej niż kilka godzin.

Wiedziała, że nie powinna osądzać swojej babki, skoro nie znała jej przed wypadkiem, ale mimo woli zawsze porównywała Gretę do LJ, której nieokiełznany duch i radość życia sprawiały, że Greta – zwłaszcza po tym wszystkim, co ją spotkało – wydawała się słaba i bezbarwna. A teraz – pomyślała Ava – Greta zjawia się tu na święta, a LJ już nie ma.

Poczuła ucisk w krtani, ale szybko przełknęła, wiedząc, że jej stryjeczna babka nie chciałaby wzbudzać w niej żalu. „Należy iść z podniesioną głową” – mawiała, ilekroć dochodziło do jakiejś tragedii.

Ava tak bardzo pragnęła, by LJ pozostała tu jeszcze trochę i doczekała się narodzin jej dziecka. Przynajmniej dożyła jej ślubu z Simonem, a w chwili śmierci wiedziała, że nie musi się martwić ani o Marchmont, ani o Avę.

Do salonu wszedł David w towarzystwie Tor.

– Witaj, Avo. Wesółych świąt i tak dalej. Boże, ale zmarzłam. Co za podróż! – Tor podeszła do huczącego ognia na kominku, by ogrzać sobie dłonie.

– Ale jakoś dojechałaś, i to na czas. Jack mówił mi, że odwołano dziś wieczorem wszystkie inne pociągi do Abergavenny – powiedział David.

– Tak, muszę przyznać, że nie uśmiechało mi się spędzanie świąt w jakimś pensjonacie w Newport – odrzekła sucho Tor i zwróciła się do Avy: – Dom prezentuje się wspaniale. Jesteście pewnie zachwyceni.

– Owszem – przytaknęła Ava. – Jest taki piękny. Nie wiemy, jak ci dziękować, wujku. Sami nigdy nie dalibyśmy rady.

– No cóż, wiecie doskonale, że pewnego dnia i tak przejdzie na waszą własność – odparł David. – Ach, jesteś już – rzucił, kiedy do salonu wszedł Simon. – Z czajniczkiem świeżo zaparzonej herbaty. Tego nam trzeba.

*

Greta obudziła się z drzemki zdeorientowana, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Z paniką zaczęła w smolistej ciemności szukać lampki, aż w końcu ją zapaliła. Zapach świeżej farby ożywił jej pamięć; usiadła na wygodnym łóżku, podziwiając odnowiony pokój.

Marchmont Hall... dom, o którym tyle przez te lata słyszała od Davida. To była kiedyś jej sypialnia i to tutaj urodziła Cheskę, jak dowiedziała się od gospodyni, Mary.

Wstała i podeszła do okna. Wciąż padał śnieg. Próbowwała dotrzeć do ulotnej pamięci, którą na chwilę w sobie rozbudziła,

gdy stanęła przed tym domem. Westchnęła zdesperowana – jej umysł uparcie odmawiał wyjawienia swoich sekretów.

Odswieżyła się w eleganckiej łazience i włożyła nową kremową bluzkę, którą kupiła kilka dni wcześniej. Podmalowała usta i spojrzała w lustro, odczuwając niepokój na myśl, że będzie musiała opuścić bezpieczne zacisze swojej sypialni.

Decyzja, żeby w święta spotkać się z rodziną w Marchmont Hall, kosztowała ją bardzo wiele. Do tego stopnia, że kiedy już wyraziła zgodę, widząc w tym momencie głębokie zdumienie na twarzy Davida, doznała potem kilku ataków paniki, które przyprawiły ją o bezsenność, poty i drżenie przed świtem. Poszła do swojego doktora, a on przepisał jej beta-blokery i środki uspokajające. Wspomagana lekami, bojąc się myśli, że spędzi w samotności kolejne żalosne Boże Narodzenie, zdołała się jakoś spakować, wsiąść do samochodu Davida i przyjechać do Marchmont.

Może lekarze nie zgodziliby się z jej motywacją; zapewne przekonywaliby ją w swoim zwyczajowym żargonie, że jest w końcu gotowa, że jej podświadomość uznała, iż jest ona już dostatecznie silna, by wrócić. Tak czy owak, kiedy podjęła tę decyzję, po raz pierwszy od wypadku zaczęła śnić wyraziście. Żaden z jej snów nie miał oczywiście sensu, ale szok – który lekarze nazwaliby „retrospekcją” – jakiego doznała, gdy wysiadła kilka godzin temu z samochodu i popatrzyła na Marchmont Hall, nadawał ich diagnozie wiarygodność.

Wiedziała, że czekają ją jeszcze trudne chwile. Na początek „towarzystwo”, i to przez dłuższy czas. Spośród tych, którzy mieli się tu zjawić, jedna osoba budziła jej szczególne obawy: Tor, przyjaciółka Davida.

Choć spotykały się od czasu do czasu, kiedy David przychodził z nią na herbatę do mieszkania Greta w Mayfair, nigdy nie spędziły ze sobą więcej niż kilka godzin. Tor sprawiała wrażenie miłej i taktownej, a także zainteresowanej tym, co Greta mówi – a było tego niewiele – ona sama jednak czuła się traktowana przez nią protekcjonalnie, jak niepełnosprawna umysłowo, zniedołężniała starsza kobieta.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wiele można było o

niej powiedzieć, ale z pewnością nie coś takiego.

Tor była starszą wykładowczynią na Oksfordzie. Niezależna, atrakcyjna intelektualistka, z gatunku takich praktycznych, jak zawsze uważała Greta, choć karciała się za tę instynktowną kobiecą drwinę wobec rywalki.

Mówiąc po prostu, Tor uosabiała wszystko, czym Greta nie była, i to ona dawała Davidowi poczucie szczęścia, a Greta powinna się z tego cieszyć.

Dobrze chociaż, że – jak powiedział David – będzie też Ava ze swoim mężem, Simonem. Ava, jej wnuczka...

Jeśli coś związanego z utratą pamięci niepokoiło ją szczególnie, była to Ava. Jej własna rodzina, córka jej córki... Choć przez ostatnie dwadzieścia lat widywała ją co jakiś czas i naprawdę bardzo lubiła, miała wyrzuty sumienia, że nie potrafi nawiązać z wnuczką tak ciepłych relacji, jak można by tego oczekiwać po babce. Bo przecież nawet jeśli nie przypominała sobie jej narodzin, czyż nie powinna instynktownie odczuwać jakiejś głębszej więzi emocjonalnej?

Greta sądziła, że Ava podejrzewa – podobnie jak podejrzewała LJ – że jej babka pamięta więcej, niż się wydaje, i że jest jej z jakiegoś powodu wstyd. Ale pomimo wieloletnich sesji z psychologami, hipnotyzerami i specjalistami od wszelkich terapii związanych z utratą pamięci, nic się nie zmieniało. Greta miała wrażenie, że żyje w swoistej próżni, jakby była jedynie obserwatką innych ludzi, którym „przypominanie sobie” nie sprawia żadnego kłopotu.

Najbardziej związana czuła się z Davidem, który był przy niej, kiedy w końcu, po dziewięciu miesiącach śpiączki, otworzyła oczy, i przez następne dwadzieścia cztery lata opiekował się nią, jak tylko mógł. Gdyby nie on, to zważywszy na pustkę swojej egzystencji, już dawno utraciłaby wszelką nadzieję. Była o tym przekonana.

Jak mówił David, poznali się czterdzieści lat wcześniej, tuż po wojnie, kiedy miała lat osiemnaście i pracowała w teatrze o nazwie Windmill. Wyjaśniła mu podobno, że jej rodzice zginęli podczas nalotu, ale nigdy nie wspomniała o jakichkolwiek innych krewnych. David twierdził, że bardzo się przyjaźnili,

Greta zaś domyślała się, że nie było między nimi nic innego. David powiedział też, że krótko po ich pierwszym spotkaniu wyszła za mężczyznę imieniem Owen, jego stryja, dziedzica Marchmont.

Przez te lata Greta bezustannie żałowała, że przyjaźń, jaką opisywał jej David, nie była czymś więcej. Kochała go głęboko nie za to, czym był dla niej przed wypadkiem, lecz za to, co znaczył dla niej teraz. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że jej uczucia nie są odwzajemniane, i nie miała powodu przypuszczać, że kiedykolwiek je odwzajemniał. David był słynnym komikiem i wciąż bardzo przystojnym mężczyzną. Poza tym od sześciu lat był w związku z Tor, która zawsze towarzyszyła mu podczas imprez charytatywnych i uroczystości wręczania takich czy innych nagród.

W najbardziej przygnębiających i mrocznych chwilach czuła, że jest to dla niego kwestia odpowiedzialności, że David spełnia wyłącznie swój obowiązek – z dobroci serca i z racji powinowactwa. Kiedy po osiemnastu miesiącach wyszła wreszcie ze szpitala i wróciła do swojego mieszkania w Mayfair, tylko David odwiedzał ją regularnie. Jej poczucie winy, że jest od niego zależna, narastało przez te lata i choć przekonywał ją, że to dla niego żaden problem wpaść do niej od czasu do czasu, starała się nie być dla niego ciężarem i często udawała, że jest akurat zajęta, mimo że wcale tak nie było.

Odsunęła się teraz od okna, wiedząc, że musi zdobyć się na odwagę, zejść i spotkać się z rodziną. Otworzyła drzwi sypialni, ruszyła przez korytarz i stanęła na szczycie okazałych schodów z ciemnego dębu, których rzeźbione poręcze i misterne zwieńczenia w kształcie żółędzi lekko lśniły w blasku żyrandola. Gdy spojrzała na wielką choinkę w holu na dole i poczuła delikatną woń świeżej jodły, coś jakby znów drgnęło w jej pamięci. Zgodnie z zaleceniem lekarzy zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać, starając się ożywić to niewyraźne wspomnienie.

*

Kiedy mieszkańcy Marchmont Hall wstali w bożonarodzeniowy poranek, ujrzeli na zewnątrz idylliczną

śnieżną scenerię. W porze lunchu spałaszowali gęś i warzywa wyhodowane w posiadłości. Potem zgromadzili się przy kominku w salonie, żeby otworzyć prezenty.

– Och, babciu. – Ava rozpakowała miękki biały koczek dziecięcy. – Tak bardzo się przyda. Dziękuję.

– Ja i Tor bardzo chcielibyśmy kupić wam wózek, ale ponieważ nie mamy pojęcia, jakich to wehikułów używają w dzisiejszych czasach rodzice, wypisaliśmy wam czek – oznajmił David.

– To niezwykle szczodre, Davidzie – odrzekł Simon, napełniając mu kieliszek.

Greta była wzruszona podarkiem od wnuczki – oprawionym w ramkę ich wspólnym zdjęciem, które zrobiono, kiedy Ava była małym dzieckiem, a ona jeszcze leżała w szpitalu.

– Żeby ci przypomnieć o tym, co nastąpi. – Ava się uśmiechnęła. – Mój Boże, zostaniesz prababcią!

– No tak, to prawda. – Greta nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– A wcale nie wyglądasz na starszą niż wtedy, kiedy cię poznałem – zauważył szarmancko David.

Greta siedziała na sofie, z radością przyglądając się swojej rodzinie. Może było to skutkiem wina, którego wypila do obiadu więcej niż zwykle, ale chociaż raz nie czuła się wyobcowana.

Kiedy już rozpakowano prezenty, Simon zaprowadził Avę na górę, żeby odpoczęła, a David i Tor postanowili wybrać się na spacer. David zaproponował Grecie, żeby z nimi poszła, ale taktownie odmówiła. Potrzebowali chwili dla siebie, a trzy osoby to w takiej sytuacji już tłum.

Usiadła przy kominku i zapadła w przyjemną drzemkę. Wkrótce się ocknęła i spojrzała w okno: słońce stało już nisko, ale wciąż świeciło, śnieg migotał w jego promieniach.

Nagle pomyślała, że i jej przyda się łyk świeżego powietrza, więc poszukała Mary i spytała, czy znajdują się tu jakieś wysokie buty i ciepła kurtka, które mogłaby pożyczyć.

Pięć minut później, w za dużych gumowcach i starej kurtce, kroczyła po dziewiczym śniegu, wdychając cudownie czyste, rześkie powietrze. Przystanęła, namyślając się, dokąd iść.

Miała nadzieję, że poprowadzi ją jakiś wewnętrzny instynkt, i postanowiła przejść się po lesie. Spojrzała w błękitne niebo i przepełniła ją głęboka radość na widok tego piękna wokół. Było to uczucie tak niezwykle i wyjątkowe, że niemal zaczęła podskakiwać, krążąc między drzewami.

Wyszła na polanę i zobaczyła stojącą pośrodku majestatyczną jodłę – bujna zieleń jej gęstych, ciężkich od śniegu gałęzi kontrastowała z wysokimi nagimi bukami, które tworzyły leśną gęstwinę. Zmierzając w stronę drzewa, Greta zauważyła pod nim nagrobek, cały przysypany śniegiem. Pomyślała, że to pewnie miejsce pochówku jakiegoś domowego zwierzaka – może takiego, którego знаła. Pochyliła się i dłonią w rękawiczce zdrapała z kamienia twarde lodowe kawałki.

Z wolna zaczęła się ukazywać inskrypcja.

JONATHAN (JONNY) Marchmont

Ukochany syn Owena i Greta

Brat Franceski

URODZONY 2 CZERWCA 1946

ZMARŁ 6 CZERWCA 1949

Niech Bóg poprowadzi swego aniołka do Nieba

Greta czytała to raz po raz, aż wreszcie, z walącym sercem, osunęła się na kolana.

Jonny... Słowa wyryte w kamieniu dowodziły, że to nieżyjące dziecko jest jej synem...

Wiedziała, że Francesca – Cheska – to jej córka, ale nikt nigdy nie wspomniał o chłopcu. Z inskrypcji wynikało, że zmarł w wieku zaledwie trzech lat...

Wstrząśnięta i załamana, wybuchnęła płaczem, a kiedy znów podniosła wzrok, zobaczyła, że niebo zaczyna ciemnieć. Rozejrzała się bezradnie po polanie, jakby drzewa mogły do niej przemówić i udzielić jej odpowiedzi. Gdy tak klęczała, z oddali dobiegło szczekanie psa. Echo innej chwili przywołało w jej umyśle pewien obraz: była już kiedyś w tym miejscu i słyszała psa... Tak, tak...

Odwróciła się w stronę nagrobka.

– Jonny... mój synu... proszę, pozwól mi przypomnieć sobie.
Na litość boską, pozwól mi przypomnieć sobie, co się wydarzyło!
– zawołała, niemal dławiąc się łzami.

Szczekanie ucichło, a ona zamknęła oczy i natychmiast
pojawił się wyraźny obraz małego dziecka w jej ramionach.
Tuliła je do piersi.

– Jonny, mój kochany Jonny... moje dziecko...

Gdy słońce zniżało się za drzewami i zagłębiało w dolinę,
zwiastując nadejście nocy, Greta wyciągnęła ręce, by objąć
nagrobek, i wreszcie zaczęła sobie przypominać...

Greta



Londyn, październik 1945

2

Ciasna garderoba teatru Windmill pachniała tanimi perfumami Leichner No. 5 i potem. Nie było dość luster, więc dziewczęta przepychały się nawzajem, nakładając szminkę i robiąc sobie fantazyjne loki za pomocą wody z cukrem.

– Myślę, że pokazywanie się półnago ma swoje dobre strony. Nie trzeba się martwić o oczka w pończochach – oznajmiła z uśmiechem atrakcyjna brunetka, patrząc w lustro i zręcznie poprawiając sobie piersi w wydekoltowanym kostiumie z cekinami.

– Tak, ale mydło karbolowe nie sprawi, że skóra będzie świeża jak róża, kiedy już zmyjesz z siebie makijaż, prawda, Doris? – zauważyła inna dziewczyna.

Rozległo się ostre pukanie i do garderoby zajrzał młody mężczyzna, najwyraźniej obojętny na widok skąpo odzianych kobiecych ciał.

– Pięć minut, panie! – krzyknął i się wycofał.

– No dobra. – Doris westchnęła. – Kolejny taniec, kolejny szyling. – Wstała od lustra. – Dzięki Bogu, nie ma już tych nalotów bombowych. Dwa lata temu było zimno jak diabli, kiedy człowiek siedział w tej cholernej piwnicy, w samej tylko bieleźnie. Tyłek mi siniał. Chodźcie, dziewczyny, pokażmy publice coś, o czym będzie potem śniła.

Wysła z garderoby, a pozostałe ruszyły za nią, gawędząc przyjaźnie. Została tylko jedna, która jeszcze w pośpiechu nakładała pędzelkiem czerwoną szminkę.

Greta Simpson nigdy się nie spóźniała, jednak tego dnia zasnęła i obudziła się po dziesiątej, a miała być w teatrze o jedenastej. Ale warto było biec prawie kilometr na przystanek autobusowy, pomyślała z rozmarzeniem, patrząc w lustro. Minionej nocy tańczyła z Maxem prawie do świtu, a potem, kiedy słońce z wolna wstawało nad Londynem, spacerowali przytuleni wzdłuż nabrzeża Tamizy. Objęła się rękami na wspomnienie jego ramion i namiętych pocałunków.

Minęły cztery tygodnie od chwili, gdy poznała go w nocnym klubie Feldmana. Zazwyczaj była zbyt zmęczona po pięciu występach w Windmill, żeby robić cokolwiek innego niż iść do domu i położyć się do łóżka, ale Doris tak ją błagała, żeby poszła z nią i pomogła jej świętować dwudzieste pierwsze urodziny, że w końcu Greta się zgodziła. Dziewczyny były jak dzień i noc: Greta spokojna i pełna rezerwy, Doris, z tym swoim akcentem wschodniego Londynu, roztrzepana i zawadiacka. Mimo to jakoś się zaprzyjaźniły i Greta nie chciała sprawiać jej zawodu.

Zafundowały sobie taksówkę i pojechały do nocnego klubu przy Oxford Street. Zawsze było tu pełno zdemobilizowanych żołnierzy, zarówno brytyjskich, jak i amerykańskich, a także przedstawiciele londyńskiej śmietanki towarzyskiej, odwiedzających ten najmodniejszy lokal w mieście.

Doris znalazła stolik w rogu sali i zamówiła dla każdej z nich gin i coś do popijania. Greta patrzyła dokoła, myśląc, jak bardzo atmosfera w Londynie zmieniła się przez te pięć miesięcy, od dnia zwycięstwa. W powietrzu wyczuwało się euforię. W lipcu powołano nowy rząd laburzystowski z premierem Clementem Attlee na czele, a ich slogan, „sprostajmy przyszłości”, doskonale wyrażał świeżo rozbudzone nadzieje narodu brytyjskiego.

Wypiła kilka łyków drinka i poczuła nagle taką beztroskę, że dała się porwać nastrojowi klubu. Po sześciu długich latach wojna dobiegła wreszcie końca. Greta uśmiechnęła się do siebie. Była młoda i ładna – i oto nadchodził czas zabawy i czas nowych możliwości. Tak, miała wielką ochotę...

Rozglądając się, zauważyła szczególnie przystojnego młodego mężczyznę, który stał z grupą żołnierzy amerykańskich przy barze, i wskazała go Doris.

– No, mogę się założyć, że jest jurny. Jak wszyscy jankesi – oznajmiła jej przyjaciółka, przyciągając wzrok jednego z mężczyzn i uśmiechając się do niego zuchwale.

Nie było w Windmill żadną tajemnicą, że Doris często obdarza kogoś względami. Pięć minut później przy ich stoliku zjawił się kelner z butelką szampana.

– Z wyrazami uszanowania od panów przy barze – oświadczył.

– To łatwe, kiedy się wie co i jak – wyszeptała Doris do Greta, gdy kelner napełniał im kieliszki. – Nie zapłacimy dziś wieczorem ani pensa.

Mrugnęła konspiracyjnie i powiedziała kelnerowi, żeby poprosił „panów” do ich stolika, by mogła im podziękować osobiście.

Po dwóch godzinach Greta, upojona szampanem, tańczyła w ramionach Maxa. Dowiedziała się, że jest amerykańskim oficerem sztabowym i że pracuje w Ministerstwie Obrony.

– Większość z nas wraca już do domu, ja też, za kilka tygodni – wyjaśnił Max. – Musimy tylko dopiąć kilka spraw. Rany, będę tęsknił za Londynem. Świetne miasto.

Nie krył zdziwienia, kiedy Greta mu powiedziała, że pracuje w „przemysle rozrywkowym”.

– Występujesz na scenie? Jako aktorka? – spytał, marszcząc brwi.

Greta natychmiast wyczuła, że nie jest to coś, co zrobiłoby na nim dobre wrażenie, więc czym prędzej zmodyfikowała swoją historię.

– Pracuję jako recepcjonistka agenta teatralnego – wyjaśniła pośpiesznie.

– Och, rozumiem. – Rysy Maxa od razu się wygładziły. – Show-biznes jakoś do ciebie nie pasuje, Greto. Jesteś, jak by to określiła moja matka, prawdziwą damą.

Pół godziny później wyswobodziła się z jego ramion i powiedziała, że musi wracać do domu. Skinął grzecznie głową i wyszedł z nią na zewnątrz, żeby jej złapać taksówkę.

– To był wspaniały wieczór – wyznał, pomagając jej wsiąść do auta. – Zobaczymy się znowu?

- Tak – odrzekła, zanim zdążyła pomyśleć.
- Świetnie. Może spotkamy się tutaj jutro wieczorem?
- Zgoda, ale pracuję do wpół do jedenastej. Muszę obejrzeć występ jednego z naszych klientów – skłamała.
- Dobrze, będę czekał o jedenastej. Dobranoc, Greto. Tylko się nie spóźnij.
- Obiecuję.

Kiedy taksówkarz odwoził ją do domu, Greta odkryła, że w jej duszy kłębią się sprzeczne uczucia. Rozum podpowiadał, że bez sensu jest nawiązywać bliższą znajomość z mężczyzną, który miał pozostać w Londynie jeszcze tylko kilka tygodni, ale Max wydawał się dżentelmenem, co stanowiło bardzo miły kontrast z hałaśliwymi i często prostackimi mężczyznami, bywającymi w Windmill.

Rozmyślała posępnie o okolicznościach, które sprawiły, że przed zaledwie czterema miesiącami wylądowała w Windmill, przy wejściu dla aktorów. We wszystkich magazynach i gazetach, które czytała jako nastolatka, „dziewczęta z Windmill” zawsze wydawały się takie olśniewające – piękne kostiumy, towarzystwo uśmiechniętych brytyjskich znakomitości. Zmuszona pospieszenie opuścić całkowicie odmienny świat, w jakim wcześniej żyła, przyjechała do Londynu, a teatr Windmill stał się jej pierwszą przystanią.

Rzeczywistość, o czym zdążyła się już przekonać, wyglądała zupełnie inaczej...

Kiedy po powrocie do swojego pensjonatu położyła się na wąskim łóżku, ubrana w piżamę i sweter chroniący ją przed chłodem niedogrzanego pokoju, uświadomiła sobie, że Max to jej przepustka do wolności. Postanowiła zrobić wszystko, by przekonać tego mężczyznę, że jest dziewczyną jego marzeń.

*

Tak jak zostało to ustalone, Maxi i Greta spotkali się następnego wieczoru i od tej pory widywali się niemal codziennie. Wbrew wszelkim ostrzeżeniom ze strony Doris na temat przepłacanych i nadpobudliwych jankesów, Max zawsze zachowywał się jak dżentelmen w każdym calu. Kilka dni wcześniej zabrał ją do

Savoya na przyjęcie z tańcami. Kiedy siedziała przy stoliku w wielkiej sali balowej, słuchając Roberta Ingleza i jego orkiestry, stwierdziła, że uwielbia być wystawnie podejmowana przez bogatego i przystojnego oficera amerykańskiego. I coraz lepiej rozumiała, jak ma go kochać.

Ich rozmowy uświadomiły Grecie, że Max, zanim przed kilkoma miesiącami przyjechał do Londynu, wiódł uprzywilejowane, ale nieco samotne życie. Powiedział, że urodził się w Karolinie Południowej, jako jedyny syn zamożnych rodziców, i że mieszka na obrzeżach miasta Charleston. Greta aż westchnęła, kiedy pokazał jej zdjęcie eleganckiego białego domu z kolumnadą. Jego ojciec prowadził kilka dochodowych firm na Głębokim Południu Stanów, między innymi dużą fabrykę samochodów, która najwidoczniej świetnie prosperowała podczas wojny. Po powrocie do kraju Max miał przystąpić do rodzinnego interesu.

Greta wiedziała – dzięki kwiatom, nylonowym pończochom i drogim posiłkom – że Max ma forsy jak lodu, więc kiedy zaczął mówić o „naszej przyszłości”, w jej sercu rozgorzała iskierka nadziei.

Tego wieczoru zabierał ją na kolację do hotelu Dorchester, a wcześniej poprosił, żeby włożyła na siebie coś specjalnego. Miał odpłynąć już za dwa dni i bezustannie powtarzał, jak bardzo będzie za nią tęsknił. Może uda mu się przyjechać do Londynu, żeby ją odwiedzić, myślała, a może ona zdoła odłożyć dość pieniędzy, by wybrać się do Stanów...

Jej romantyczne sny na jawie przerwało lekkie pukanie do drzwi. Podniosła wzrok i zobaczyła znajomą, przyjazną twarz.

– Gotowa? – spytał David Marchmont.

Jak zwykle zaskoczył ją ten zwarty akcent klas wyższych, tak bardzo sprzeczny ze scenicznym wizerunkiem Davida, który nie tylko pełnił funkcję asystenta reżysera, ale także pracował w Windmill jako komik, pod pseudonimem Taffy – co było aluzją do jego walijskich korzeni, i tak też zwracali się do niego wszyscy w teatrze – i bawił widownię swoją charakterystyczną rodzimą wymową.

– Dasz mi dwie minuty? – poprosiła, przypominając sobie

nagle, co ma tego wieczoru robić.

– Ale nie więcej. Zaprowadzę cię za kulisy. – Zmarszczył nieznacznie czoło, patrząc na nią. – Na pewno dasz radę? Jesteś strasznie błąda.

– Wszystko w porządku, Taffy – skłamała, czując, jak wali jej serce. – Zaraz przyjdę.

Kiedy zamknął drzwi, westchnęła głęboko i zajęła się makijażem.

Praca w Windmill była znacznie cięższa, niż Greta to sobie wyobrażała. *Revudeville* grano pięć razy dziennie, a w przerwach między występami dziewczyny ćwiczyły. Wszyscy wiedzieli, że mężczyźni przychodzą tu nie po to, żeby zobaczyć komików czy inne numery, tylko żeby pogapić się na wspaniałe dziewczyny paradyjące po scenie w skąpych strojach.

Skrzywiła się i z poczuciem winy zerknęła na pięknie skrojony płaszcz w wiśniowym kolorze, wiszący na kołku przy drzwiach. Nie potrafiła mu się oprzeć podczas wyjątkowo kosztownego szaleństwa zakupów na Oxford Street – chciała zaprezentować się przed Maxem jak najlepiej. Ten czerwony płaszcz był aż nadto widomym symbolem problemów finansowych, które sprawiły, że znalazła się teraz w tym miejscu. Z trudem przełknęła ślinę, szykując się, by stanąć niemal nago przed setkami lubieżnie patrzącymi na nią mężczyzn.

Kilka dni wcześniej, kiedy pan Van Damm poprosił ją, żeby wystąpiła w wyjątkowo śmiałych *tableaux vivants* – co oznaczało, że ma stać nieruchomo w wyrafinowanej pozie, a inne dziewczyny będą wokół niej krążyć – Greta wzdygnęła się na samą myśl, że miałyby się prawie całkowicie rozebrać. Tylko kilka cekinów zakrywających sutki i skąpe majtki chroniłyby jej skromność. Ale namawiana przez Doris, która pojawiała się w tych *tableaux* już od roku, i świadoma swoich zaległości w opłatach za mieszkanie, w końcu niechętnie się zgodziła.

Poczuła dreszcz, uświadamiając sobie, co pomyślałby o jej karierze Max, który pochodził z pobożnej rodziny baptystów. Rozpaczliwie potrzebowała jednak gotówki, a tę zapewni jej występ w *tableau*.

Spojrzała na zegar ścienny i zdała sobie sprawę, że powinna

się pospieszyć. Przedstawienie już się zaczęło, a ona miała za niespełna dziesięć minut wyjść na scenę. Wysunęła szufladę toaletki i szybko pociągnęła z piersiówki, którą Doris tam ukrywała. Miała nadzieję, że łyk dla kurażu pozwoli jej jakoś to przetrwać. Znowu rozległo się pukanie.

– Nie chcę cię popędzać, ale już czas! – zawołał Taffy zza drzwi.

Greta popatrzyła jeszcze raz na swoje odbicie w lustrze i wyszła na ciemny korytarz, szczelnie okrywając się szlafrokiem.

Widząc jej niepewną minę, Taffy zbliżył się i ujął delikatnie jej dłoń.

– Wiem, że jesteś zdenerwowana, Greto, ale jak już się tam znajdziesz, wszystko będzie w porządku.

– Naprawdę? Przyrzekasz?

– Tak, przyrzekam. Wyobraź sobie po prostu, że jesteś modelką w jakiejś paryskiej pracowni malarskiej i pozujesz do pięknego obrazu. Słyszałem, że rozbierają się tam bez wahania – zażartował, chcąc podnieść ją na duchu.

– Dzięki, Taffy. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością i pozwoliła mu zaprowadzić się za kulisy.

*

Siedem godzin i trzy szarpiące nerwy przedstawienia później Greta znów siedziała w garderobie. Jej *tableau vivant* zostało przyjęte entuzjastycznie, a ona, dzięki radzie Taffy’ego, zdołała stłumić wszelkie obawy i stanąć w świetle reflektorów z wysoko podniesioną głową.

– No cóż, najgorsze za tobą. Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy – oznajmiła Doris, mrugając znacząco. Siedziały obok siebie: Greta zmywała gruby sceniczny makijaż, a jej przyjaciółka nakładała świeży przed kolejnym występem. – Skup się teraz na tym, żeby wyglądać dziś wieczorem ośniewająco. O której spotykasz się z tym swoim amerykańskim facetem?

– O ósmej, w hotelu Dorchester.

– Wzięło cię, co? Światowe życie, bez dwóch zdań. – Doris uśmiechnęła się w lustrze do Grety, po czym wstała i sięgnęła

po swój pióropusz. – Dobra, znów ruszam tupać na scenie, a ty będziesz rozbijała się po West Endzie jak Kopciuszek ze swoim przystojnym księciem. – Ścisnęła Grecie ramię. – Miłej zabawy, skarbie.

– Dzięk! – zawołała Greta, kiedy Doris wychodziła już z garderoby.

Wiedziała, jak się jej poszczęściło z tym wolnym wieczorem. Musiała obiecać panu Van Dammowi, że w następnym tygodniu przeprocjuje dodatkowe godziny. Podekscytowana, włożyła nową koktajlową sukienkę, którą kupiła na poczet pieniędzy, jakie miał jej przynieść awans sceniczny, umalowała się starannie, zarzuciła na ramiona swój ukochany czerwony płaszcz i wybiegła z teatru.

*

Max czekał na nią w lobby hotelu Dorchester. Ujął jej dłonie i popatrzył na nią.

– Tak pięknie dziś wyglądasz, Greto. Jestem chyba największym szczęściarzem w całym Londynie. Idziemy? – Podał jej ramię i ruszyli wolnym krokiem w stronę restauracji.

Dopiero kiedy skończyli jeść deser, zadał jej pytanie, które tak bardzo pragnęła od niego usłyszeć.

– Chcesz się ze mną ożenić? Ja... Och, Max, znamy się tak krótko! Jesteś pewien, że tego właśnie pragniesz?

– Bardziej niż pewien. Wiem, że cię kocham. Życie w Charlestonie będzie inne niż tutaj, ale dobre. Nigdy niczego ci nie zabraknie, przyrzekam. Proszę, Greto, powiedz „tak”, a do końca życia będę robił wszystko, żeby cię uszczęśliwiać.

Greta spojrzała w przystojną, szczerą twarz Maxa i udzieliła mu odpowiedzi, którą oboje chcieli usłyszeć.

– Przykro mi, że nie mam jeszcze pierścionka – dodał, ujmując czule jej lewą dłoń i z uśmiechem spoglądając jej w oczy. – Ale chcę, żebyś przyjęła pierścionek zaręczynowy mojej babki, kiedy przyjedziemy do Stanów.

Greta roześmiała się radośnie.

– Najważniejsze, że będziemy razem. Tylko to się liczy.

Przy kawie omówili plany: on popłynie do kraju, a ona dołączy do niego, jak tylko zwolni się z pracy i spakuje swój

skromny dobytek.

Tego wieczoru, na parkiecie, Max w euforii przytulił ją i powiedział:

– Zrozumiem, Greto, jeśli uznasz to za niestosowne, ale skoro się właśnie zaręczyliśmy i zostało nam tak niewiele czasu, bo zaraz odpływam do Stanów, czy zgodziłabyś się pójść ze mną do mojego hotelu? Przysięgam, że nie narażę na szwank twojego dobrego imienia, ale będziemy mogli przynajmniej spokojnie porozmawiać...

Greta dostrzegła, że Max się czerwieni. Domyśliła się z jego słów, że prawdopodobnie wciąż jest prawiczkim. Uznała, że skoro ma zostać jej mężem, pocałunek i trochę pieszczot nie zawadzą.

Później, w jego apartamencie w hotelu St. James, wziął ją w ramiona i zaczął tulić do siebie. Greta wyczuwała jego narastające podniecenie. Sama też była podniecona.

– Mogę? – spytał z wahaniem, dotykając trzech guzików sukienki na jej karku.

Greta przekonywała samą siebie, że skoro przed zaledwie kilkoma godzinami pokazała się niemal naga mężczyznom, których nawet nie знаła, nie powinna czuć wstydu, kochając się z mężczyzną, którego miała poślubić, i ofiarowując mu swoją niewinność.

*

Nazajutrz, kiedy w garderobie teatralnej upinała przed lustrem włosy, nie mogła uwolnić się od uczucia niepokoju. Czy podjęła słuszną decyzję, zgadzając się poślubić Maxa?

Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze pragnęła zaistnieć na dużym ekranie, a matka nigdy nie próbowała jej od tego odwieść. Sama była tak zafascynowana kinem, że dała córce imię na cześć legendarnej Garbo. Nie tylko zabierała Gretę na liczne seanse filmowe do Odeonu w Manchesterze, lecz także opłacała jej lekcje wymowy i gry aktorskiej.

Ale przecież, myślała Greta, gdyby kino było naprawdę jej przeznaczeniem, to ktoś chyba zwróciłby już na nią uwagę? Reżyserzy ciągle tu wpadali, żeby rzucić okiem na słynne

dziewczyny z Windmill. W ciągu tych czterech miesięcy jej dwie koleżanki trafiły do wytwórni J. Arthura Ranka. Był to jeden z głównych powodów, dla których wiele dziewcząt, w tym także Greta, pracowało w tym teatrze. Wszystkie żyły nadzieją, że pewnego dnia ktoś zapuka do drzwi garderoby, by przekazać jednej z nich wiadomość, że pewien dżentelmen z wytworni filmowej chciałby „zamienić z nią słowo”.

Pokręciła głową, wstając sprzed lustra i przygotowując się do wyjścia na scenę. Jak w ogóle mogła pomyśleć o tym, że nie poślubi Maxa? Wiedziała, że jeśli zostanie w Londynie, będzie tkwić w tym teatrze jeszcze kilka lat, znosząc poniżenia i zadłużając się coraz bardziej. Zważywszy na to, jak wielu młodych mężczyzn zginęło na wojnie, miała szczęście, że znalazła człowieka, który zdawał się ją kochać i który, o ile się orientowała, mógł jej zapewnić życie wolne od wszelkich trosk.

Był to ostatni dzień pobytu Maxa w Londynie. Nazajutrz rano odpływał do Ameryki. Mieli się spotkać wieczorem w hotelu Mayfair na kolacji i ustalić szczegóły wyjazdu Greta. Potem spędzą razem ostatnią przed rozstaniem noc. Wiedziała, że będzie za nim tęsknić, ale odczuwała też ulgę. Było jej przykro i nieswojo, że wciąż go okłamuje, zmyślając historyjki o wymagającym szefie, który każe jej do późna przesiadywać w biurze.

– Greto, kochanie! Zaraz podniosą kurtynę! – Ocknęła się na głos Taffy’ego.

– Spokojnie, już idę! – Uśmiechnęła się i ruszyła za nim przez ciemny korytarz, w stronę sceny.

– Może miałabyś ochotę na drinka po przedstawieniu? – wyszeptał do niej, kiedy stali za kulisami. – Właśnie rozmawiałem z Van Dammem, zagwarantował mi występ co wieczór. Mam ochotę to uczcić!

– Wspaniała wiadomość, Taffy! – Greta szczerze się ucieszyła. – Zasługujesz na to. Masz prawdziwy talent.

Wyciągnęła ręce, żeby go uściskać. Przy swoim wzroście ponad stu osiemdziesięciu centymetrów, z niesfornymi piaskowymi włosami i wesołymi zielonymi oczami zawsze wydawał jej się przystojny i podejrzewała, że ma do niej słabość.

Czasem wychodzili razem, żeby coś przegryźć, a on przedstawiał jej nowe żarty do scenicznych numerów „Taffy’ego”. Czuła się winna, że jeszcze nie wspomniała mu słowem o swoich zaręczynach.

- Dziękuję. Więc co z tym drinkiem?
- Wybacz, Taffy, dziś nie mogę.
- Może w przyszłym tygodniu?
- Zgoda.
- Greta! Wchodzimy na scenę! – zawołała Doris.
- Przepraszam, muszę lecieć.

David patrzył za nią, jak idzie na scenę, i westchnął. Spędzili razem kilka uroczych wieczorów, ale gdy już odważył się sądzić, że odwzajemnia jego uczucia, zaczęła odwoływać ich spotkania. Wiedział dlaczego, podobnie jak wszyscy w teatrze. Kręcił się przy niej bogaty oficer amerykański. Jakim cudem nędźnie opłacany komik, który starał się rozśmieszać ludzi swoimi żartami, a w ciągu kilku ostatnich lat sam zaznał tak mało radości, mógł rywalizować z przystojnym Amerykaninem w mundurze? David wzruszył ramionami. Kiedy ten jankes pojedzie już do domu... No cóż, trzeba spokojnie czekać.

*

Max Landers usiadł i rozejrzał się niepewnie po hałaśliwej, wyłącznie męskiej widowni. Nie zamierzał tu przychodzić, ale jego kumple z ministerstwa, chcąc uczcić ostatni wieczór w Londynie, już dobrze podcięci, upierali się, że przed wyjazdem muszą koniecznie obejrzeć słynny show w Windmill.

Max nie słuchał komików ani piosenek, tylko odliczał minuty dzielące go od chwili, gdy będzie mógł się wymknąć i spotkać ze swoją ukochaną Gretą. Wiedział, że nie będzie jej łatwo, kiedy on jutro odpłynie, a sam też musiał odpowiednio przygotować rodziców, którzy chcieli, żeby ożenił się z Anną-Mae, swoją sympatią jeszcze ze szkoły średniej. Powinni zrozumieć, że się zmienił. Wyjeżdżał jako chłopiec, a teraz był mężczyzną, w dodatku zakochanym. Poza tym Greta to prawdziwa angielska dama i nie wątpił, że swoim urokiem podbije ich serca.

Ledwie podniósł wzrok, kiedy widownia rozbrzmiała

oklaskami i kurtyna opadła po pierwszym numerze.

– Hej! – Jego przyjaciel Bart klepnął go w ramię. – Musisz zobaczyć następny występ! Po to tu przyszliśmy. – Dłońmi nakreślił w powietrzu kształt kobiecego ciała i uśmiechnął się szeroko. – Podobno jest naprawdę gorący.

Max skinął głową.

– Tak, Bart, jasne.

Kurtyna znów się uniosła, przy ogłuszających brawach i przeraźliwych gwizdach, i Max ujrzał na scenie niemal nagie dziewczyny. Jaka kobieta mogłaby zrobić coś takiego? – odruchowo zadał sobie pytanie. Uważał, że niewiele się różnią od zwykłych dziwek.

– Hej, nie są wspaniałe? – rzucił Bart. Oczy błyszczały mu z podniecenia. – Popatrz na tę pośrodku. Rany! Mało co ma na sobie, ale jaki słodki uśmiech.

Max wpatrywał się w dziewczynę, która stała tak nieruchomo, że mogłaby uchodzić za posąg. Była trochę podobna do... Nachylił się i wyteżył wzrok.

– Jezu Chryste – jęknął cicho.

Serce waliło mu młotem, kiedy przyglądał się dużym niebieskim oczom skierowanym gdzieś ponad widownię, słodkim wargom i gęstym blond włosom zebranych na czubku głowy. Z trudem znosił widok znajomych pełnych piersi ze sterzącymi sutkami, ledwie zakrytymi przez kilka cekinów, czy ponętnie zaokrąglonego brzucha, tuż nad najbardziej intymną częścią...

Nie miał żadnych wątpliwości: to była Greta. Odwrócił się do Barta i zobaczył, że ten gapi się wygłodniałym wzrokiem na ciało jego narzeczonej.

Poczuł, że zaraz zwymiotuje. Wstał i czym prędzej wyszedł z sali.

*

Greta wyjęła trzeciego papierosa z papierošnicy, którą dostała w prezencie od Maxa, i zapaliła, po raz kolejny patrząc na zegarek. Max spóźniał się już ponad godzinę. Gdzie on się podziewa, u licha? Kelner zerkał na nią podejrzliwie, kiedy

tak siedziała samotnie przy stoliku w koktajlbarze. Wiedziała doskonale, co o niej myśli.

Skończyła palić, zgasiła papierosa i znów spojrzała na zegarek. Postanowiła, że jeśli Max nie pokaże się przed północą, ona wróci do domu i tam na niego zaczeka. Wiedział, gdzie mieszka – parę razy przyszedł po nią do pensjonatu – a na pewno musiał mieć jakiś ważny powód, że się nie zjawił.

Północ minęła, koktajlbar opustoszał. Ona też wstała i ruszyła do domu. Ku jej rozczarowaniu Max nie czekał na nią przed pensjonatem. Weszła do swojego pokoju i postawiła czajnik na małym piecyku.

– Nie ulegaj panice – nakazała sobie, wsympując do filiżanki odrobinę cennej kawy, którą dostała od Maxa. – Na pewno zaraz przyjdzie.

Usiadła sztywno na brzegu łóżka, podskakując na każdy odgłos kroków pod domem – pragnęła, by ktoś się zatrzymał i zaczął wchodzić tu po schodach. Nie chciała się przebierać ani zmywać makijażu, w obawie że nie usłyszy dzwonka. W końcu, o trzeciej nad ranem, drżąc ze strachu i zimna, położyła się do łóżka. Patrzyła na wilgotną obłazającą tapetę i do oczu napływały jej łzy.

Czuła narastającą panikę: nie miała pojęcia, jak skontaktować się z Maxem. Jego statek odpływał z Southampton i wiedziała, że Max powinien zameldować się na pokładzie przed dziesiątą rano. A jeśli wcześniej się do niej nie odezwie? Nie знаła nawet jego adresu w Ameryce. Obiecał, że wszystkie szczegóły dotyczące jej wyjazdu z Anglii i podróży przekaże jej przy kolacji.

O świcie zniknęły na niebie gwiazdy, a wraz z nimi marzenia Greta o nowym życiu. Wiedziała już bez cienia wątpliwości, że Max nie przyjdzie. O tej porze był zapewne w drodze do Southampton, gotów odpłynąć z jej życia na zawsze.

Zjawiła się nazajutrz rano w teatrze otępiała i wyczerpana.

– Co się dzieje, kotku? Żołnierzuk popłynął w siną dal i zostawił biedne małeństwo? – zagruchała Doris.

– Daj mi spokój! – warknęła Greta. – Zresztą wiesz, że to nie żołnierzuk, tylko oficer.

– Nie trzeba od razu się złościć, pytałam tylko. – Doris

patrzyła na nią, wyraźnie urażona. – Maxowi podobał się wczorajszy występ?

– Ja... co masz na myśli?

– Twój chłopak siedział wczoraj na widowni. – Doris odwróciła się i skoncentrowała na malowaniu oczu. – Sądziłam, że go zaprosiłaś – dodała znacząco.

Greta przełknęła z wysiłkiem, rozdarta między chęcią zatajenia, że nie wiedziała o obecności Maxa, a pragnieniem, by się upewnić, że Doris mówi prawdę.

– Tak... oczywiście, że go zaprosiłam. Ale nigdy nie patrzę na widownię. Gdzie siedział?

– Och, po lewej stronie. Zauważyłam go, bo zaraz po tym, jak kurtyna poszła w górę i pokazałyśmy się, *jolies mesdames*, wstał i wyszedł. – Wzruszyła ramionami. – Ludzie są dziwni, zwłaszcza faceci.

Wieczorem Greta wróciła do domu, wiedząc z niezachwianą pewnością, że Max Landers już nigdy więcej się nie odezwie.

LUCINDA RILEY

TAJEMNICE
FLEAT
HOUSE

Z angielskiego przełożyła
Małgorzata Stefaniuk

Tytuł oryginału:
THE MURDERS AT FLEAT HOUSE

Copyright © Lucinda Riley Ltd. 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Małgorzata Stefaniuk 2022

Szkoła Świętego Szczepana, Norfolk
styczeń 2005

Kiedy intruz wspinał się schodami na piętro, gdzie znajdował się labirynt jednoosobowych pokoi uczniów, które miały wielkość pudełka po butach, nie było słychać nic poza trzaskami i bulgotaniem dochodzącymi z przestarzałych kaloryferów, nieefektywnych żeliwnych strażników, od pięćdziesięciu lat z trudem ogrzewających Fleat House i jego mieszkańców.

Fleat House, jeden z ośmiu internatów należących do Szkoły Świętego Szczepana, wziął swoją nazwę od dyrektora szkoły z czasów jej założenia przed stu pięćdziesięciu laty. Nazywany przez obecnych mieszkańców „norą”, brzydki wiktoriański budynek z czerwonej cegły został przekształcony w internat tuż po wojnie.

Był ostatnim, który wymagał niezbędnego remontu. W ciągu sześciu miesięcy korytarze, schody, pokoje uczniów i pomieszczenia wspólne miały zostać ogołocone z wytartego czarnego linoleum; pożółkłe ściany zamierzano ponownie wytapetować i odświeżyć farbą w kolorze magnolii, a w archaicznych kabinach prysznicowych zainstalować lśniące nierdzewne armatury i ich ściany wyłożyć błyszczącymi, białymi kafelkami. Wszystko to, żeby zadowolić wymagających rodziców, życzących sobie, by ich dzieci mieszkały i uczyły się w komfortowych warunkach zbliżonych do hotelu, a nie rudery.

Przed pokojem numer siedem intruz zatrzymał się na chwilę i nasłuchiwał. Był piątek, więc ośmiu chłopców z tego piętra prawdopodobnie już dawno odnotowało swoje wyjście i wybrało się do pubu w pobliskim miasteczku Foltesham, ale nie zaszkodzi się upewnić. Nic nie słysząc, intruz przekreślił gałkę i wszedł do środka.

Zamknął cicho drzwi, zapalił światło i niemal natychmiast poczuł wyraźny duszący zapach nastolatka: mieszanek brudnych

skarpet, potu i szalejących hormonów, która na przestrzeni lat przeniknęła każdy zakamarek Fleet House.

Drżąc, bo zapach przywoływał bolesne wspomnienia, prawie potknął się o stertę bielizny, rzuconej niedbale na podłogę. Sięgnął po dwie białe tabletki, co wieczór kładzione na szafce nocnej chłopca, i zastąpił je identycznymi, po czym odwrócił się, zgasił światło i wyszedł z pokoju.

*

Na klatce schodowej drobny chłopiec w pizamie zamarł, gdy usłyszał zbliżające się kroki. W panice zanurkował do wąskiej wnęki pod schodami na półpiętrze i zlał się z panującym tam mrokiem. Gdyby przyłapano go, że o dziesiątej wieczorem nie leży jeszcze w łóżku, zostałby ukarany, a tego już by dzisiaj nie zniósł.

Stojąc nieruchomo w ciemności, z walącym sercem i mocno zaciśniętymi oczami, jakby to miało w czymś pomóc, słuchał bez tchu, jak ktoś wspina się po schodach centymetry nad jego głową, a potem litościwie oddala. Trzęsąc się z ulgi, chłopiec wymknął się z kryjówki i pobiegł korytarzem do swojego pokoju. Wskoczył do łóżka, zerknął na stojący przy nim budzik i wiedział, że minie jeszcze godzina, zanim będzie mógł pozwolić sobie na ucieczkę w sen. Naciągnął kołdrę na głowę i dał w końcu upust łzom.

*

Mniej więcej godzinę później Charlie Cavendish wszedł do pokoju numer siedem i rzucił się na łóżko.

Osiemnaście lat, jedenasta w piątkowy wieczór, a on gnije zamknięty jak dziecko w tej głównianej klatce na króliki.

A jutro musi wstać o siódmej na cholerną mszę. W tym semestrze opuścił już dwie i nie mógł sobie pozwolić na to znowu. Już i tak Jones wezwał go na dywanik z powodu tej głupiej sprawy z Millarem. Przebąkiwał coś o wydaleniu, jeśli Charlie się nie poprawi, więc chłopca wkurzało to, że musi się pilnować i unikać kłopotów. Ojciec jasno dał mu do zrozumienia, że nie sfinansuje mu roku przerwy, jeśli nie będzie miał przyzwoitych ocen na świadectwie.

Co byłoby cholerną katastrofą.

Ojciec nie pochwalał idei roku przerwy. Hedonizm był dla niego czymś strasznym i perspektywa, że syn wyleguje się na

tajskiej plaży, prawdopodobnie naćpany, nie była tym, o czym marzył, zwłaszcza jeśli to on miał za to płacić.

Tuż przed rozpoczęciem semestru strasznie się pokłócili o przyszłość Charliego. William Cavendish był wziętym adwokatem w Londynie i zawsze zakładano, że syn pójdzie w jego ślady. W dzieciństwie Charlie nie zastanawiał się nad tym zbyt wiele. Jako nastolatek powoli zaczął rozumieć, czego od niego oczekiwano, i wiedział, że nikogo nie obchodzą jego pragnienia.

A Charlie był uzależnionym od adrenaliny ryzykantem, tak siebie postrzegał. Lubił żyć na krawędzi. Wizja wegetowania w zhiarchizowanej, dusznej atmosferze londyńskiego prawniczego świata przyprawiała go o ból brzucha.

Poza tym pojęcie sukcesu życiowego ojca było całkowicie przestarzałe. W dzisiejszych czasach wszystko wyglądało inaczej, można było robić, co się chce. Wszystkie te bzdury o szacunku należały do pokolenia jego rodziców.

Charlie chciał być didżejem i oglądać półnagie piękne dziewczyny tańczące w klubach na Ibizie. Tak. Właśnie coś takiego mu odpowiadało! I... jako didżej można zarobić kupę szmalu.

Choć pieniądze nie powinny być kiedykolwiek poważnym problemem. Jeśli jego pięćdziesięciosiedmioletni wujek kawaler nie postanowi nagle płodzić dzieci, Charlie odziedziczy rodzinną posiadłość z tysiącami hektarów ziemi uprawnej.

Na to też miał plany. Wystarczyło tylko sprzedać deweloperowi kilka hektarów z pozwoleniem na budowę, a zbije fortunę!

Nie, nie chodziło o przyszłe finanse; chodziło o to, że ojciec skąpił nad nim nadzór nad nim fiskalną władzę.

A on był młody. Chciał się bawić.

Takie właśnie myśli krążyły po głowie Charliego Cavendisha, gdy bez zastanowienia sięgał po dwie tabletki, które brał co wieczór od piątego roku życia, i podnosił szklankę z wodą, zostawioną mu przez opiekunkę.

Umieścił tabletki na języku, popił łykiem wody i odstawił szklankę na szafkę nocną.

Przez minutę nic się nie działo i chłopak, wdychając, nadal dumiał nad niesprawiedliwością swojego losu. Po chwili jednak jego ciało zaczęło się prawie niedostrzegalnie trząść.

– Co do cholery...?!

Drżenie się nasilało, stawało się niekontrolowane i nagłe

Charlie poczuł, że zaciska mu się gardło. Spanikowany, nic nie rozumiejąc, dysząc i zataczając się, zdołał przejść kilka kroków dzielących go od drzwi. Chwycił za gałkę, lecz w narastającym przerażeniu nie udało mu się jej przekręcić. Półprzytomny, upadł, z jedną ręką przy szyi i z pianą toczącą się z ust. Bez dopływu tlenu, na skutek krążących w ciele śmiertelnych toksyn jego organy stopniowo przestawały funkcjonować. Potem nastąpiło rozluźnienie zwieraczy i powoli młody człowiek, który kiedyś był Charliem Cavendishem, po prostu przestał istnieć.

1

Robert Jones, dyrektor Szkoły Świętego Szczepana, stał z rękami w kieszeniach – nawyk, za który nieustannie karcił swoich podopiecznych – i wyglądał przez okno gabinetu.

W dole widział uczniów idących na lekcje albo z lekcji przez porośnięty trawą plac przed kaplicą. Jego dłonie były wilgotne od potu, a serce łomotało od adrenaliny, co towarzyszyło mu ciągle od czasu wypadku.

Odszedł od okna i usiadł za biurkiem. Leżała na nim sterta dokumentów czekających na przejrzenie, a obok lista wiadomości telefonicznych, na które jeszcze nie odpowiedział.

Wyciągnął chusteczkę, wytarł czubek łysej głowy i westchnął ciężko.

Przed dyrektorem szkoły, mającym pod opieką setki nastoletnich chłopców i dziewcząt, może stanąć wiele potencjalnie koszmarnych problemów: narkotyki, dręczyciele, a w czasach szkół z internatem dla obojga płci – niemożliwy do powstrzymania upiór, jakim był seks.

W ciągu czternastu lat pełnienia funkcji dyrektora Robert miał do pewnego stopnia do czynienia z każdym z tych problemów.

Ale dotychczasowe kryzysy bladły w porównaniu z tym, co wydarzyło się w ostatni piątek. To był najgorszy koszmar dyrektora: śmierć ucznia pozostającego pod jego opieką.

Jeśli istniał sposób na doszczętne zniszczenie reputacji szkoły, było nim właśnie to. Szczegóły związane ze śmiercią chłopca prawie nie miały znaczenia. Robert już widział oczami wyobraźni, jak hordy rodziców poszukujących szkół z internatem skreślają

Świętego Szczepana ze swoich list.

Niejakie pocieszenie znajdował w tym, że szkoła przetrwała ponad czterysta lat – a przeglądając akta, odkrył, że tego rodzaju tragedia zdarzyła się już wcześniej. Być może na krótką metę liczba uczniów się zmniejszy, ale z czasem to, co wydarzyło się w zeszły piątek, na pewno zostanie zapomniane.

Ostatnia śmierć ucznia miała miejsce w 1979 roku. Chłopiec został znaleziony martwy w składziku w piwnicy. Powiesił się na kawałku sznurka przywiązanego do haka na suficie. Incydent stał się częścią szkolnego folkloru; dzieciaki uwielbiały rozpowszechniać wyssaną z palca opowieść, że duch chłopca nawiedza Fleet House.

Młody Rory Millar sam wyglądał jak duch, gdy znaleziono go walącego w drzwi piwnicy internatu. Zamknięty na klucz, spędził w niej całą noc.

Charlie Cavendish, bez wątpienia winowajca, jak zwykle wszystkiemu zaprzeczył, a co gorsza, najwyraźniej uważał, że to było zabawne... Roberta przeszedł nieprzyjemny dreszcz, gdy zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie opłakiwać młodego życia.

Na wczorajszym nadzwyczajnym zebraniu rady pedagogicznej zaproponował, że złoży rezygnację. Nauczyciele stanęli jednak po jego stronie.

Śmierć Cavendisha to był wypadek... nastąpiła z przyczyn naturalnych. Chłopak zmarł na skutek napadu epileptycznego.

Dla Roberta był to jedyny promyk nadziei. Jeśli tylko koroner stwierdzi, że do śmierci doszło z przyczyn naturalnych, i da się jakoś ograniczyć doniesienia mediów, może uda się zminimalizować szkody.

Dopóki jednak to się nie potwierdzi, jego przyszłość i reputacja wisiąły na włosku. Ktoś z biura koronera obiecał, że odezwą się dziś rano.

Zaterkotał telefon na biurku i Robert przełączył go na tryb głośnomówiący.

- Tak, Jenny?
- Biuro koronera do pana.
- Przełącz, proszę.
- Pan Jones?
- Tak, przy telefonie.
- Tu Malcolm Glenister, lokalny koroner. Chciałbym omówić wyniki wczorajszej sekcji zwłok Charliego Cavendisha.

Robert z trudem przełknął ślinę.

– Oczywiście. Proszę mówić.

– Patolog ustalił, że Charlie nie zmarł w wyniku napadu padaczkowego. Zgon wystąpił na skutek wstrząsu anafilaktycznego.

– Rozumiem. – Robert znowu przełknął ślinę, usiłując oczyścić gardło. – I... co było tego przyczyną?

– Jak zapewne pan wie, z dokumentacji medycznej denata wynika, że był uczulony na aspirynę. W krwiobiegu Charliego znaleziono sześćset miligramów tej substancji, co odpowiadałoby dwóm tabletkom dostępnym bez recepty.

Dyrektor nie mógł odpowiedzieć, miał zbyt wyschnięte gardło.

– Poza śladowymi ilościami leku epilim – ciągnął koroner – który Charlie codziennie zażywał, by kontrolować epilepsję, i minimalnych ilości alkoholu patolog nie znalazł nic więcej. Chłopak był całkowicie zdrowy.

Robert odzyskał wreszcie głos.

– Czy gdyby znaleziono go wcześniej, przeżyłby?

– Jeśli natychmiast otrzymałby leki, to tak, prawie na pewno. Lecz prawdopodobieństwo, że zdołałby wezwać pomoc podczas tych kilku minut przed utratą przytomności, było nikłe. To zrozumiałe, że nikt go nie znalazł aż do rana.

Dyrektor zamilkł na chwilę i po jego żyłach rozlała się cieniutka strużka ulgi.

– To co dalej? – zapytał w końcu.

– Cóż... wiemy, jak denat zmarł. Pytanie brzmi: dlaczego do tego doszło? Rodzice potwierdzili, że chłopiec wiedział o swoim uczuleniu na aspirynę.

– Musiał połknąć tabletki przez pomyłkę. Nie ma innego wytłumaczenia, prawda?

– Nie powinienem spekulować, nie znając wszystkich faktów, panie dyrektorze, ale kilka spraw wypadaloby wyjaśnić. I obawiam się, że policja rozpocznie śledztwo.

Robert poczuł, że z twarzy odpływa mu krew.

– Rozumiem – rzucił cicho. – Jak to wpłynie na codzienne funkcjonowanie szkoły?

– Będzie pan to musiał przedyskutować z osobą prowadzącą dochodzenie.

– Kiedy policja się tu zjawi?

– Pewnie szybko. Wkrótce się z panem skontaktują, żeby

wszystko ustalić. A na razie do widzenia.

– Do widzenia.

Dyrektor wyłączył zestaw głośnomówiący. Czując, że jest bliski omdlenia, wziął kilka długich, głębokich oddechów.

Śledztwo policyjne... Pokręcił głową. To najgorsza wiadomość z możliwych.

I wtedy dotarło do niego, że przez ostatnie kilka dni myślał wyłącznie o reputacji szkoły. Jeśli w sprawę zaangażowano policję, to koroner musi mieć wątpliwości, czy chłopak wziął aspirynę przez pomyłkę.

Jezu Chryste. Chyba nie sądzą, że to było morderstwo?

Potrząsnął głową. Nie, to prawdopodobnie jedynie formalność. Poza tym, jeśli się nad tym zastanowić, ojciec zmarłego chłopca miałby wystarczającą siłę przebicia, by nalegać na przeprowadzenie dochodzenia. Robertowi przypomniały się te niezliczone razy, kiedy Charlie Cavendish stał przed jego biurkiem i patrzył na niego beznamytnie, gdy on udzielał mu nagany. Zawsze przebiegało to tak samo: upominał chłopaka, że zabawa w wykorzystywanie młodszych kolegów jako służących skończyła się lata temu i nie wolno mu zmuszać nikogo do posłuszeństwa wbrew jego woli. Charlie przyjmował naganę, a potem zachowywał się tak jak wcześniej.

Miał iść do Eton, nie zdał jednak tamtejszych egzaminów wstępnych. I kiedy pojawił się w Świętym Szczepanie, niemal od pierwszego dnia jasno dawał do zrozumienia, że ma szkołę, jej dyrektora i kolegów za coś podrzędnego. Jego arogancja zapierała dech w piersiach.

Poszukując inspiracji, Robert utkwiał wzrok w portrecie lorda Grenville'a Dudleya, szesnastowiecznego założyciela szkoły, po czym spojrzał na zegarek i uzmysłowił sobie, że zbliża się pora lunchu. Nacisnął przycisk interkomu.

– Tak, panie dyrektorze?

– Jenny, czy mogłabyś przyjść?

Kilka sekund później w drzwiach pojawiła się napawająca otuchą postać Jenny Colman. Jenny pracowała w szkole od trzydziestu lat, początkowo jako pomoc kuchenna, a następnie, po ukończeniu kursu sekretarskiego, jako asystentka administracyjna w dziale księgowym. Kiedy przed czternastu laty Robert został dyrektorem i dowiedział się, że sekretarka wkrótce ma przejść na

emeryturę, wybrał Jenny na jej miejsce.

Nie była to najbardziej wyrafinowana kandydatka, ale jemu podobały się spokój i opanowanie Jenny, a jej znajomość szkoły okazała się nieoceniona, gdy na dobre osiadł na dyrektorskim stołku.

Wszyscy kochali Jenny, od woźnych po nauczycieli. Znała każde dziecko po imieniu, a jej lojalność wobec szkoły była bezdyskusyjna. Trzy lata od niego starsza, miała bliżej do emerytury niż on i Robert często się zastanawiał, jak sobie poradzi, gdy Jenny przestanie tu pracować. Teraz zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie odejdzie przed nią.

Z powodu operacji biodra przez cały miniony semestr Jenny pozostawała na urlopie. Jej zastępczyni była kompetentna i prawdopodobnie o wiele bardziej na czasie z technologią biurową, ale Robert tęsknił za matczynym usposobieniem Jenny i cieszył się, kiedy wróciła. Teraz, ściskając w gotowości notes i długopis, usadowiła pulchne ciało na krześle przed jego biurkiem i na jej twarz wypłynął wyraz głębokiej troski.

– Trochę pan błady, panie dyrektorze. Podać panu szklankę wody? – zapytała z norfolkskim zaśpiewem.

Robert zapragnął nagle wtulić się w obfity biust kobiety. Chciał, by otoczyła go matczynymi ramionami i pocieszyła. Otrząsnął się szybko.

– Rozmawiałem z koronerem. Nie mają dobrych wieści. Policja ma przeprowadzić śledztwo.

Jenny uniosła krzaczaste brwi.

– Och nie, nie wierzę!

– Miejmy tylko nadzieję, że szybko się z tym uporają. Kręcący się tu policjanci będą wszystkim przeszkadzali i jeszcze bardziej destabilizowali sytuację.

– Święta racja – zgodziła się Jenny. – Myśli pan, że wszystkich nas będą przesłuchiwali?

– Naprawdę nie mam pojęcia, na pewno jednak musimy wszystkich powiadomić. Podobno lada chwila ma zadzwonić do mnie ktoś z policji, więc po rozmowie będę wiedział więcej. Może dobrze by było na jutro rano zwołać apel w auli i poinformować wszystkich, co się wydarzy. Trzeba wezwać cały personel, od pomocy kuchennych w górę. Może to pani zorganizować?

– Oczywiście, panie dyrektorze. Zajmę się tym od razu.

– Dziękuję, Jenny.

Wstała, ale zanim wyszła, zapytała jeszcze:

– Kontaktował się pan z Davidem Millarem? Dziś rano dzwonił już trzy razy.

Ostatnią rzeczą, jakiej Robert w tej chwili potrzebował, był obłąkany rodzic alkoholik, panicznie zamartwiający się o syna.

– Nie, jeszcze z nim nie rozmawiałem.

– Hm... wczoraj wieczorem też dzwonił i zostawiał wiadomości... coś o tym, że kiedy Rory rozmawiał z nim przez telefon, był bardzo zdenerwowany.

– Wiem, mówiła już pani. Ale niestety, Millar będzie musiał poczekać. Teraz mam ważniejsze sprawy na głowie.

– Może zrobię panu herbaty? Wygląda pan, jakby potrzebował lekkiego podniesienia poziomu cukru. To świetnie pomaga na stres.

– Dziękuję, byłoby miło – zgodził się z wdzięcznością.

Znowu rozdzwonił się telefon. Jenny dotarła do niego pierwsza i podniosła słuchawkę.

– Gabinet dyrektora.

Słuchała przez chwilę, po czym osłoniła ją dłonią i szepnęła:

– To nadkomisarz Norton. Chce z panem rozmawiać.

– Dzięki. – Robert przejął słuchawkę i zaczął, aż Jenny wyjdzie. – Dyrektor szkoły przy telefonie.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Nadkomisarz Norton z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Zakładam, że wie pan, dlaczego dzwonię.

– Owszem.

– Pomyślałem, że powinienem pana uprzedzić, że wysyłam do pana kilku śledczych do zbadania sprawy śmierci Charliego Cavendisha.

– A tak, oczywiście, tak. – Robert nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Przyjadą jutro rano.

– Skąd?

– Z Londynu.

– Z Londynu?

– Tak. Sprawa została przekazana do nas, do jednostki specjalnej wydziału. Będziemy współpracować z waszą lokalną policją.

– Rozumiem, że musicie wykonywać swoją pracę, panie

nadkomisarzu, ale niepokoję się o utrudnienia w szkole, nie wspominając o panice.

– Moi koledzy mają doświadczenie w prowadzeniu takich spraw jak ta, panie dyrektorze. Jestem pewien, że potraktują sytuację z wyczuciem i doradzą panu, jak postępować z personelem i z uczniami.

– Miałem zamiar zwołać na jutro zebranie całej szkoły.

– To doskonały pomysł. Mój zespół będzie miał okazję przedstawić się i poinformować o śledztwie, co być może zmniejszy niepokój związany z naszą obecnością.

– Zwołam je więc.

– Świetnie.

– Czy może mi pan podać nazwiska śledczych, których zamierza pan do nas przysłać?

Na chwilę zapadła cisza, po czym nadkomisarz odpowiedział:

– Jeszcze nie jestem pewien, kogo wysłę. Ale oddzwonię do pana do końca dnia i wszystko potwierdzę. Dziękuję za poświęcony czas.

– Dziękuję, panie nadkomisarzu. Do usłyszenia.

Dziękuję za co? – zadał sobie pytanie Robert, gdy odłożył słuchawkę. Ukrył głowę w dłoniach i jęknął.

Policja będzie badała przeszłość każdego pracownika... życie prywatne... Nie wiadomo, do czego się dokopie. On sam może stać się podejrzanym... A liczba przyjmowanych uczniów od trzech lat spadała; była taka duża konkurencja. Dochodzenie to ostatnia rzecz, jakiej szkoła potrzebowała. I jakiej sam potrzebował, pomyślał egoistycznie, sięgając po słuchawkę, by zadzwonić do przewodniczącego rady szkolnej.

2

Jasmine Hunter-Coughlin – Jazz dla przyjaciół, komisarz Hunter dla kolegów z pracy – rozsunęła zasłony i wyjrzała przez okno swojej małej sypialni. Niewiele było widać, skraplająca się na szybie para zamazywała panoramę mokradeł Salthouse i szarego Morza Północnego za nimi. Jazz automatycznie nakreśliła swoje inicjały, tak jak to robiła w dzieciństwie, przez chwilę przyglądała się literkom, po czym zdecydowanym ruchem wymazała końcowe

C.

Zerknęła na kartonowe pudła zawalające podłogę sypialni. Wprowadziła się trzy dni temu, ale poza odnalezieniem niezbędnych rzeczy, jak piżama, czajnik czy mydło, resztę pozostawiła nietkniętą.

Malutki domek był przeciwieństwem minimalistycznego mieszkania w londyńskim Docklands, które dzieliła z byłym mężem. I właśnie to podobało jej się w tym domu. Niechęć zazwyczaj patologicznie utrzymującej porządek Jazz do rozpakowania się wynikała z tego, że w najbliższych tygodniach domek miał przejść gruntowny remont. Hydraulik będzie za tydzień, stolarz wpadnie jutro, by wziąć wymiary na szafki w kuchni, a poza tym zostawiła wiadomości kilku miejscowym dekoratorom.

Miała nadzieję, że za kilka miesięcy Marsh Cottage będzie wyglądał tak malowniczo wewnątrz, jak zapowiadał to jego wygląd na zewnątrz.

Tego dnia na dworze było pogodniej, postanowiła więc wybrać się na poranny spacer przez mokradła w stronę morza. Włożyła buty i kurtkę, otworzyła drzwi i po wyjściu przed dom zaciągnęła się orzeźwiającym morskim powietrzem.

Jej domek stał przy nadbrzeżnej drodze oddzielającej wioskę od mokradeł i morza. Latem panował na niej duży ruch, bo turyści jeździli tędy na plażę i do nadmorskich osad North Norfolk, ale dziś, pod koniec stycznia, droga była opustoszała.

Jazz omiotła wzrokiem najbliższe otoczenie i poczuła radość. Z powodu braku drzew i płaskiego terenu okolica wydawała się ponura i nieprzyjazna, ale ona uwielbiała taką prostotę. W tym krajobrazie nie było nic ładnego, nic, co mogłoby złamać surowość horyzontu rozciągającego się na blisko dwa kilometry w każdą stronę. Czysta linia lądu w oddali, na granicy z morzem, i ogrom niczym niezakłóconej przestrzeni przemawiały do niecierpiącej pretensjonalności Jazz.

Gdy przechodziła przez drogę, kątem oka dostrzegła, że z budynku poczty pięćdziesiąt metrów przed nią wychodzi jakiś mężczyzna. Weszła na szorstką podmokłą trawę. Stawiając na niej kroki, skupiała się na kojącym chlupocie wody pod stopami i nagle wydało jej się, że ktoś ją woła.

Zignorowała odgłos, bo uznała, że to skrzeczenie kuropatw stojących w kręgu na prawo od niej, i kontynuowała wspinaczkę

na wzniesienie, jedyną ochronę jej domku przed falami morza, które okazały się problematyczne przy załatwianiu ubezpieczenia niezbędnego do kredytu hipotecznego.

– Jazmine! Komisarz Hunter! Halo, zaczekaj!

Tym razem nie było mowy o pomyłce. Zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na drogę.

Chryste! Co on tu robi, do diabła? Zbulwersowana, zaczęła się cofać w stronę domu. Po kilku metrach zatrzymała się i posłała przybyszowi chłodny uśmiech.

– Witam, komisarz Hunter.

– Co pan tu robi, panie nadkomisarzu?

– Mnie też cię miło widzieć – rzucił Norton, wyciągając do niej rękę.

– Przepraszam. – Westchnęła, podeszła i uściśnęła jego dłoń.

– Nie spodziewałam się tu pana, to wszystko.

– Nic się nie stało. Zaprosisz mnie do domu, zanim zamarznię na śmierć w tym cienkim garniturze?

– Tak, oczywiście.

Kiedy znaleźli się w środku, zaproponowała, by Norton usiadł na kanapie, i rozpałała ogień w kominku. Zrobiła kawę, po czym przysiadła na brzegu drewnianego krzesła.

– Miły domek – pochwalił Norton. – Przytulny.

– Dziękuję. Lubię go.

Zaległa niezręczna cisza.

– No więc jak się miewasz, Jazmine?

Dziwnie było słyszeć, jak Norton zwraca się do niej po imieniu. Podkreślało to, jak dalece jej życie zmieniło się w ciągu ostatnich miesięcy, ale też sprawiało wrażenie protekcjonalności.

– Całkiem nieźle – odparła.

– Wyglądasz... lepiej. Nabrałaś trochę więcej koloru od czasu, gdy widziałem cię ostatnio.

– Tak, we Włoszech jest ciepło, nawet zimą. – Kolejna chwila ciszy, podczas której Jazz pomyślała, że wołałaby, żeby nadkomisarz przeszedł do rzeczy. – Skąd pan wiedział, że tu jestem? – zapytała w końcu, niegotowa na to, by sama zainicjować właściwą rozmowę. – Wprowadziłam się dopiero trzy dni temu.

Roześmiał się.

– Jestem zaskoczony, że musisz o to pytać po pracy w Yardzie, chociaż nawet nasz komputer wypuścił jedynie adres Salthouse Road

dwadzieścia dziewięć. Kiedy tu dotarłem i nie mogłem znaleźć numerów na drzwiach, zapytałem na pocztce.

– Ach – mruknęła.

– Dlaczego tutaj? – zapytał.

– Wakacje z dzieciństwa, jak sądzę. Zawsze uwielbiałam Norfolk i wydawało mi się, że to tak samo dobre miejsce jak każde inne. Poza tym rodzice mieszkają blisko.

– A tak, rozumiem.

Znowu milczenie.

– Więc... – odezwał się w końcu Norton, nagle rzeczowym tonem, jakby wyczuwał zniecierpliwienie gospodyni – chcesz wiedzieć, dlaczego pokonałem prawie dwieście kilometrów, żeby zobaczyć się z tobą z samego rana w mroźny styczniowy dzień? Próbowałem dodzwonić się na twoją komórkę, ale najwyraźniej z niej zrezygnowałaś.

– Zostawiłam ją w kraju, kiedy wyjeżdżałam do Włoch. A gdy wróciłam, uznałam, że tak naprawdę wcale jej nie potrzebuję.

Skinął głową.

– Pewnie w North Norfolk do niczego się nie przydaje. Moja straciła zasięg zaraz po tym, jak wyjechałem z Norwich. Tak czy inaczej, zjawiłem się tu... bo chcę, żebyś wróciła do pracy.

Jazz chwilę milczała.

– Myślałam, że dość jasno się w tej kwestii określiłam – odpowiedziała cicho.

– To prawda. Ale to było siedem miesięcy temu. Byłaś na urlopie, rozwiodłaś się, znalazłaś nowe miejsce do życia...

– Którego nie mam zamiaru porzucać po to, by wrócić do Londynu – weszła Nortonowi ostro w słowo.

– Jestem pewien, że nie – rzucił niezrażony.

– Zresztą jak mogłabym wrócić? I skąd w ogóle pomyśl, że bym tego chciała?

– Jazmine, gdybyś na chwilę odpuściła sobie ten defensywny ton i mnie wysłuchała. – W głosie Nortona pojawiła się twardsza nuta.

– Przepraszam, szefie – burknęła. – Ale chyba rozumie pan, że nie mam większej ochoty wracać do przeszłości. – Zdawała sobie sprawę, że mówi wrogim tonem, nie mogła na to nic poradzić.

– Tak, właśnie widzę... – Spojrzał na nią. – Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego jesteś na mnie zła? Przecież to nie ja cię

zdradziłem.

– A to już cios poniżej pasa, szefie.

– Cóż... – mruknął, oglądając swoje nieskazitelnie wypielęgowane paznokcie. – Chyba że odniosłeś wrażenie, że to zrobiłem?

– Przyjmuję do wiadomości, że nie mógł szef nic poradzić na sytuację z moim mężem. Zresztą i tak już wtedy nie miałam złudzeń i...

– ...i to była ta przysłowiowa kropla, która przelała czarę goryczy. – Norton napił się kawy i spojrzał na nią. – Jazmine, wiesz, ile kosztuje rekrutacja i wyszkolenie śledczego?

– Nie mam pojęcia.

– A gdybym ci powiedział, że za przybliżoną kwotę kupiłabyś sobie kolejny taki domek?

– Próbuje pan wzbudzić we mnie poczucie winy?

– Jeśli to miałoby zadziałać, to owszem. – Norton zdobył się na lekki uśmiech. – Nawet nie dałaś mi szansy na porozmawianie z tobą. W jednym tygodniu siedziałas przy biurku, w następnym wyjechałaś do Włoch.

– Nie miałam wyboru.

– Ty tak uważasz. Sądziłem, że ze względu na nasze dobre stosunki w pracy będziesz czuła, że możesz do mnie przyjść i ze mną pogadać. Jeśli uzgodnilibyśmy, że twoja rezygnacja to jedyna alternatywa, nie stawałbym ci na drodze. Tymczasem ty zwyczajnie... uciekałaś, bez uprzedzenia, bez słowa wyjaśnienia!

Jazz pozostała niewzruszona.

– Och. A więc to dlatego pan tu jest, tak? Żeby się wytłumaczyła?

Norton westchnął z frustracją.

– Daj spokój. Staram się, jak mogę, a ty zachowujesz się jak rozwydrzona nastolatka. Sytuacja wygląda tak, że oficjalnie rzecz biorąc, nadal jesteś u nas zatrudniona. – Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął kopertę i popchnął ją w jej stronę.

– Co to jest? – zapytała, unosząc brwi. W środku znajdowały się odcinki wypłat, korespondencja dotycząca konta, które dzieliła z Patrickiem, miesięczne wyciągi, nadal wysyłane pod jej poprzedni adres zamieszkania. Był tam też list z rezygnacją, który w pośpiechu nabazgrała na lotnisku i wysłała, zanim wsiadła do samolotu lecącego do Pizy.

– Nie było to zbyt... profesjonalne odejście, nie uważasz?
– Nie, chyba nie, choć nie sędzę, żeby miało to teraz jakieś znaczenie. – Jazz włożyła list z powrotem do koperty i oddała ją Nortonowi. – Proszę bardzo, szefie. Wręczam to panu oficjalnie. Rezygnuję z pracy. Czy to wystarczy?

– Tak, jeśli tego właśnie chcesz. Słuchaj, Jazmine, rozumiem... wiem, że czułaś się zawiedziona i upokorzona, a twoje życie osobiste legło w gruzach. Prawdopodobnie potrzebowałaś trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć...

– Tak, chodziło dokładnie o to! – wykrzyknęła ostro.

– A ponieważ byłaś zła i rozgoryczona, działałaś instynktownie, a instynkt kazał ci uciekać. Byłaś jednak przez niego zaślepiona. Nie widzisz tego?

Nie odpowiedziała.

– A skoro byłaś zaślepiona – ciągnął Norton – podjęłaś pochopną decyzję, która oprócz zrujnowania twojej obiecującej kariery przyczyniła się do tego, że straciłem jednego z najlepszych śledczych. Słuchaj... – Uśmiechnął się łagodnie. – Nie jestem idiotą. Widziałem, co się dzieje. Odkrycie prawdy o mężu, zwłaszcza jeśli dowiedziałaś się o wszystkim właściwie jako ostatnia, musiało być dla ciebie czymś okropnym.

Cisza.

Norton westchnął.

– Wszystko sprowadza się do jednego: związki w pracy są niebezpieczne, zwłaszcza w takiej profesji jak nasza. Mówiłem to nadkomisarzowi Coughlinowi, gdy poinformował mnie, że chcecie się pobrać.

Jazz spojrzała w górę.

– Poważnie? Bo Patrick mówił, że dał nam pan swoje błogosławieństwo.

– Właściwie to zasugerowałem, by jedno z was przeniosło się do innego wydziału, żebyście przynajmniej nie potykali się o siebie. Ale błagał, bym pozwolił wam zostać. Więc żeby nie stracić obojga, postanowiłem spróbować. Dodam, że wbrew sobie.

– Hm... szefie, powiedział pan „nadkomisarz”?

– Tak. Twój były mąż został niedawno awansowany.

– Niech się pan nie trudzi i nie przekazuje mu moich gratulacji.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).